

## **Plasterek Życia** [Slice of Life][Mature]

### **Rozdział III: Piątunio**

Kubek ciepłego kakao, nastrojowa muzyka z radio i dobra książka. Coco Pommel miała wszystko, czego potrzebowała, aby w piątkowy wieczór zrelaksować się po owocnym tygodniu pracy. Siedziała wygodnie na kanapie, sącząc parującą słodycz, czytając niespiesznie, delektując się zasłużonym odpoczynkiem.

Młoda projektantka mody nie narzekała ostatnio na swoje szczęście. Praca przy kostiumach do musicalu, zapewniona jej dzięki szczodremu gestowi Rarity, okazała się wspaniałą odskocznią do dalszej kariery oraz kolejnych, bardziej intratnych zamówień. Jedną z jej kreacji, sukni uszytą na zamówienie samej burmistrz Manehattanu, zrobiła furorę podczas niedawnej wizyty Księżniczki Luny. Zlecenia spływały coraz częściej, a Coco coraz poważniej rozważała zatrudnienie asystentki. Albo dwóch.

W duchu obiecywała sobie, że będzie znacznie, znacznie lepszą szefową niż ta... okropna Suri.

Wspomnienie białego jednorożca przywiodło jej na myśl ostatnie spotkanie z Tavi. Wiolonczelistka wydawała się cieszyć jej szczęściem, nie omieszkła jednakże wyrazić wątpliwości co do intencji klaczy z Ponyville, stwierdzając, że nikt nie wyświadcza nikomu tego rodzaju przysługi, nie oczekując czegoś w zamian. I że kiedyś owa sytuacja wróci do niej, aby ugryźć ją w tyłek. Coco, nie mając ochoty na przekonywanie jej, że się myli, nie drażyła tematu, obiecując jedynie, że w razie jakichkolwiek problemów od razu da jej znać.

Projektantka westchnęła. Prawdę mówiąc, martwiła się trochę o przyjaciółkę. Tamtego wieczora, w restauracji, wydała się jej jeszcze bardziej zgorzkniała i cyniczna, niż kiedy widziały się po raz ostatni. Gdyby tylko udało się jej wyciągnąć ją z miasta, choćby na kilka dni... Być może zmiana otoczenia, oderwanie się od codziennej rutyny poprawiłoby jej humor. Było to jednak nie lada wyzwanie. Octavia z trudem tolerowała nawet poruszanie się komunikacją miejską, a podróż pociągiem doprowadzała ją niemal do szewskiej pasji, przede wszystkim ze względu na jadących z nią współpasażerów, których, mówiąc bez ogródek, miała za ogłupiałą, rozwrzeszczaną tłuszcę, która najwyraźniej za jedyny cel w życiu obrała sobie uczynienie jej życia piekłem na ziemi.

I nie, to stwierdzenie wcale nie było przesadzone. Kremowa klacz usłyszała je z ust samej zainteresowanej, podczas wycieczki szkolnej w drugiej klasie liceum.

Westchnąwszy raz jeszcze, Coco wróciła do lektury, uznając, że miała jeszcze czas, żeby to wszystko dobrze przemyśleć. A poza tym, kto wie, może wkrótce pojawi się jakaś dogodna okazja na wspólny wyjazd.

W końcu nigdy nic nie wiadomo.

\*\*\*

*Untss. Untss. Untss. Untss.*

Octavia była w dobrym nastroju. Był piątkowy wieczór, a ona była przyjemnie podpita – nie za mocno, nie za słabo, w sam raz, żeby się dobrze bawić. Muzyka w klubie była szybka i rytmiczna, z solidnym basem i ciekawymi, elektronicznymi efektami. DJ nie mógł co prawda się równać z Vinyl (która była zajebiście dobra w tym co robiła, nawet Octavia musiała to przyznać), dawał jednak radę, nie psuł też zabawy wybijającym z rytmu zbędnym gadaniem. Na parkiecie, tłumek klaczy i ogierów podrygiwał w rytm muzyki, uskuteczniając tak zwany „taniec dyskotekowy”, czyli ciąg absolutnie nieskoordynowanych, przypadkowych ruchów kończyn, głowy i ogona.

Wiolonczelistka nie zamierzała do nich dołączać. Nie po to tam przysła.

Powoli okrążała lokal, starannie omijając kręcących się tu i ówdzie hipsterów w okularkach po babci oraz wyżelowanych lokalnych lowelasów. Kroczyła niespiesznie, lecz zdecydowanie, z rozmysłem, poszukując, obserwując, niemal węsząc, niczym wilczyca na tropie ofiary.

W końcu, wypatrzyła idealną zdobycz. Siedział przy stoliku w kącie, popijając piwo. Po stojących przed nim na blacie kilku różnego rodzaju szklankach i kuflach, Octavia domyślała się, że nie przyszedł tam sam; najwidoczniej jednak jego znajomi porzucili go na rzecz (tak zwanego) tańca, przygodnego seksu, bądź też w celu ulżenia przepełnionym pęcherzom. On nie wyglądał jednak, jakby mu to przeszkadzało – przeciwnie, zdawało się, że taki rozwój sytuacji mu odpowiada. Obserwował gości lokalu, niemal odruchowo wyławiając oczyma z tłumu pozornie losowe kucyki, taksując je przenikliwym, byстрым wzrokiem.

Na szczęście wyglądało na to, że jeszcze jej nie dostrzegł. Wyczekała moment, w którym nie będzie patrzył się w jej stronę i jednym płynnym ruchem usiadła obok niego, obejmując go za szyję nogą. On tymczasem nawet się nie wzdygnął, jedynie lekko poruszył złożonymi na plecach skrzydłami, spokojnie odwrócił głowę w jej stronę i spojrzał na nią. Jego niebieskie oczy pasowały do jego granatowej grzywy i pomarańczowego umaszczenia. Był wcale niebrzydki i dobrze zbudowany - Octavia czuła pod nogą grające w jego plecach i karku silne, wytrenowane mięśnie.

– Cześć, przystojniaku – zamruczała, przysuwając go do siebie, ani trochę nie kryjąc się ze swoimi intencjami. – Jak masz na imię?

Musiała mu to przyznać, panował nad twarzą doskonale. Nawet nie zastrzygł uszami, uśmiechnął się tylko lekko, uprzejmie, nawet z odrobiną zainteresowania. Zdała sobie sprawę, że знаła ten typ facetów – postawa atlety, czujne oczy i perfekcyjne panowanie nad fizjonomią. Nic, tylko pałacowy gwardzista.

Tak, zapowiadało się, że to będzie naprawdę dobry wieczór.

– Flash. Flash Sentry – odparł ogier, nie czyniąc najmniejszego ruchu, aby oswobodzić się z jej objęć. – A ty, ślicznotko?

– Czy to ważne? – zapytała, posyłając mu zza przymkniętych zalotnie oczu bardzo, ale to bardzo jednoznaczne spojrzenie.

Uśmiechnął się nieco szerzej, spoglądając jej w oczy, sprawiając, że czarnowłosą klacz przeszedł dreszcz ekscytacji.

– Nie. Nie ważne – powiedział, po czym objął ją nogą za szyję i przyciągnął ją do siebie. Ich usta spotkały się w pocałunku, z początku delikatnym, lecz z każdą kolejną sekundą coraz bardziej chciwym, zachłannym, namiętym.

\*\*\*

*Otaczała ją zieleń, chorobliwa, fluorescencyjna. Dookoła niej tańczyły języki zielonych płomieni. Była w pułapce. Gdziekolwiek nie spojrzała, widziała tylko zieleń, płomienną, złowrogą, straszną.*

*Zielony ogień. Pamiętała go, pamiętała aż za dobrze. Odwiedziła ją tamtego dnia dawno niewidziana przyjaciółka, aby zaprosić ją na swój ślub. Tyle, że to wcale nie była jej przyjaciółka...*

*Zielony ogień. A za nim, w ciemności, zimne, zielone oczy.*

*Nie. Nie chciała na nowo tego przeżywać. Wszystko, tylko nie to.*

*Opętała ją. Zmusiła, aby odgrywała przed przyjaciółmi pantomimę normalnego życia. Aby patrzyła, jak usidla innych. Jak stają się marionetkami w jej kopytach, narzędziami do zrealizowania jej planu.*

*Nie. Błagam, tylko nie to.*

*Nie...*

*Zielony ogień. A za nim, w ciemności, zimne, zielone oczy.*

*Nie!*

Obudziła się raptownie, z krzykiem, spadając z krzesła, na którym siedziała. Była cała mokra, zlana zimnym potem. Czuła schnące na jej policzkach świeże łzy. Serce łomotało jej w piersi, niczym ptak usiłujący wydostać się z więżącej go klatki.

Otarła oczy i rozejrzała się dookoła. Była w domu, w Ponyville, w swoim pokoju. Leżała na podłodze obok swojego biurka. Stojąca na nim lampa stanowiła jedyne źródło światła w pomieszczeniu. Zegar na półce obok wskazywał, że jest kilka minut po drugiej w nocy.

Wydała z siebie westchnienie ulgi, które zamieniło się w zdławiony, bolesny szloch.

Usłyszała kroki. Drzwi do jej pokoju otworzyły się, wpuszczając do środka smugę światła z korytarza.

– Lyra? Wszystko w porządku?...

Podniosła się, powoli, ostrożnie. Czuła, że wciąż się trzęsie, że kolana mogą się ugiąć pod nią w każdej chwili.

– Tak... – skłamała. – To tylko... to tylko zły sen, Bon. Zasnęłam przy biurku i spadłam z krzesła.

Jej przyjaciółka podeszła bliżej. Na jej twarzy malowała się troska.

– Czy to był jeden z... tych snów? – zapytała ostrożnie.

– Ja... nie chcę o tym mówić. Przepraszam, Bon.

Poczuła coś pod kopytem. Spoglądając w dół, zobaczyła, że jest to gruby brulion w brązowej okładce. Musiała go zrzucić z biurka, kiedy się obudziła. Uniosła go magią i położyła z powrotem na blacie, otwierając na ostatniej zapisanej stronie. Wypełniały ją dialogi, didaskalia, oraz notatki dotyczące rekwizytów i kostiumów. Marginesy zaś pokrywały najprzeróżniejsze bazgroły, niczym w zeszytach jakiejs licealistki. Wiele z nich przedstawiało różnorakie kompozycje, składające się głównie z jabłek, lir i serc; na samym dole strony widniał zaś koślawy, napisany najwyraźniej tuż przed tym, jak zasnęła, napis: „LH+BM”.

Zamknęła brulion. Nie chciała teraz o tym... o nim myśleć. Nie chciała też, żeby Bon coś zobaczyła. Nie dałaby jej potem spokoju.

Bon Bon tymczasem stanęła obok niej, obejmując ją. Lyra natychmiast odwzajemniła uścisk, wtulając twarz w szyję przyjaciółki.

– Już dobrze. Sama powiedziałaś, to tylko zły sen. Złe wspomnienie – zaczęła kremowa klacz.

– Ostatnio śni mi się to coraz częściej. Dlaczego? – odparł pistacjowy kucyk, cichym, pustym głosem. – Dlaczego nie mogę o tym po prostu zapomnieć? Jak długo jeszcze będę musiała to znosić? Zasypiać ze strachem, że znów zobaczę, jak...

Umilkła, zdławiona kolejnym szlochem.

Bon Bon nie знаła odpowiedzi. Jedynym, co mogła zrobić, to przytulić Lyrę mocniej, tak, żeby wiedziała, że jest przy niej. Że nie jest sama. I mówić jej, że wszystko będzie dobrze. Że tu, w ich domu, zielony ogień i zielone oczy już nigdy jej nie skrzywdzą. Następnego dnia, kiedy spotkają się w kuchni przy śniadaniu, obie będą udawały, że nic się nie stało, że wszystko jest w porządku.

Obie jednak dobrze wiedziały, że było to kłamstwo.